Nie ma jak u mamy

Magdalena Witkiewicz



flow

Magdalena Witkiewicz

Nie ma jak u mamy

flow

Nie ma jak u mamy

Magdalena Witkiewicz



Projekt okładki:
Magda Danaj / Porysunki
W projekcie okładki wykorzystano ilustracje:
Magda Danaj / Porysunki

Ilustracje w książce:
Magda Danaj / Porysunki

Redakcja:
Agata Bizuk

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej:
Andrzej Lademann / komart.com.pl

Korekta:
Karolina Tuszyńska

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych. Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie I w tej edycji, Gdańsk 2026

Copyright © 2026 by Magdalena Witkiewicz
Copyright © 2026 by Wydawnictwo FLOW

ISBN 978-83-8364-191-1

Druk i oprawa:
Abedik SA

flow

Wydawnictwo FLOW Sp. z o.o.
ul. Potokowa 2/3, 80-283 Gdańsk
wydawnictwoflow.pl

Mamo,
czasem się z tobą kłócę jak Edyta ze swoją mamą,
czasem się martwię jak Aniela o swoją mamę,
czasem chciałabym, abyś rzuciła wszystko
i pojechała wreszcie odpocząć,
choćby w Bieszczady, jak mama Milaczka.
Ale pamiętaj, że Cię kocham i jestem przekonana, że
NIE MA JAK U MAMY…

SPIS TREŚCI

Kryzys wieku średniego, wysokie schody, perfekcyjna Edyta, mniej perfekcyjna Kamila i Zuzanny czas na głupoty 9
Ochoczy trucht, kolana babci i kolorowe szydełkowe kwiatki 37
Jaka matka, taka córka 57
Różowy szlafrok, aorta i kulinarne dywagacje Milaczka 87
Poświęcenie, tylko mężczyzna oraz włóczka w kolorze fuksji i miłość, która nie wie, czego chce 113
Rodzinny chaos, komandos ratujący Roszpunkę oraz życiowa szuflada 151
Bieganie po Oliwskich Lasach i miłość do ziemniaków oraz zbyt wysoki puls 185
Projekt matka i niesubordynowani geniusze oraz Herkules 201
Anielska szuflada i nowa miłość 223

Nowe zastosowanie czekolady, lody
w charakterze drinka i Marek 233
Jedwabna, hmm, koszula oraz rysunki
na lodówce 251
Rzuć wszystko i jedź w Bieszczady 261







Kryzys wieku średniego, wysokie schody, perfekcyjna Edyta, mniej perfekcyjna Kamila i Zuzanny czas na głupoty

Milenka miała kryzys wieku średniego. Jeszcze do niedawna nie zdawała sobie sprawy, że to kryzys, a nawet nie wpadła na to, że trzydzieści sześć lat to jest akurat wiek średni. Przecież ona nie czuła się staro! Ba, czuła się niemalże tak młodo, jak Zuzanna, jej – cóż za okropne słowo – pasierbica. A jakby się tak dłużej zastanowić, to czasem duchem była nawet zdecydowanie młodsza.

Nie wiedziałaby nic o kryzysie, który ją dopadł całkiem znienacka, gdyby nie jej mąż, Jacek, który poprzedniego wieczora ujrzał ją wpatrującą się z zachwytem w umięśnionego mężczyznę na ekranie telewizora i z zapałem wymachującą nogą.

– Ukochoj się! – krzyknęła pełną piersią Milena.

Jacek spojrzał na żonę z powątpiewaniem. Najwyraźniej było z nią coś nie tak. I Jacek do końca nie wiedział, czy nowe oblicze żony mu się podoba.

– Jedziesz z tym życiem! – Milenka wtórowała mężczyźnie, który skądinąd wydawał się sympatyczny i w normalnych okolicznościach Jacek pewnie by go polubił, ale zachwyt w oczach żony, gdy ta patrzyła na niego, zdecydowanie osłabił jego sympatię do pana z telewizora.

– Nie martw się – powiedział cicho. – Nie martw się, kochanie. To minie.

To naprawdę niedługo minie.

Milenka się wcale nie martwiła, była wręcz wniebowzięta. Qczaj, którego odkryła w ubiegłym tygodniu na Instagramie, powodował, że czuła się młodsza, piękniejsza, lżejsza i cóż mówić, czuła się taka jakaś bardziej „ukochana".



Tego kwietniowego sobotniego poranka również ćwiczyła. Ostatni wdech i wydech. Trening zakończony. Nie podejrzewała siebie o to, że tuż przed czterdziestką będzie skakać przed telewizorem i na dodatek będzie to robić z zachwytem. Przecież ona nie ćwiczy, przecież ona nie biega. Ba, nie rusza się. I w ogóle, jeżeli chodzi o sport, to jest najgorsza. Najgorsza na świecie. Albo i we wszechświecie. Tego była pewna. Niemniej jednak obudziła się pewnego dnia

z myślą, że, ku swojemu zaskoczeniu, młodsza już nie będzie. Nie będzie też chudsza, o ile nic z tym nie zrobi. Tęsknie wracała do dawnych czasów, gdy ważyła osiemdziesiąt kilogramów i myślała, że to dużo. Tamtego wrześniowego poranka znowu stanęła na wadze i ta nikczemna zołza pokazała jej liczbę, o której nie chciała mówić, myśleć, a najlepiej jej pamiętać. Oczywiście wtedy przeszło jej przez myśl, że jest taka bardzo nieszczęśliwa, iż to nieszczęście powinna natychmiast osłodzić sobie czymś przepysznym. Na przykład lodami o smaku słonego karmelu. Ewentualnie tiramisu z przepysznymi kawałkami małych biszkopcików. Na szczęście jednak od tamtego czasu minęło kilka miesięcy i udało jej się zgubić ponad trzydzieści kilogramów. Do tej pory nigdy jej to nie wychodziło. A teraz konsekwentnie dążyła do celu, kilka razy w tygodniu ćwiczyła w zaciszu domowym (tak, by absolutnie nikt jej nie widział), a miała też plany, by zacząć biegać. Ale to za chwilę. Jak już przestanie tak dyszeć przy każdym kroku i zacznie przypominać człowieka. Szczupłego człowieka.

Chociaż chyba już tak trochę jest, bo ostatnio córka jej powiedziała, że mama zaczyna przypominać inne, normalne mamy. To był chyba komplement.

– Jacek. – Obudziła męża.

– Hmm? – zapytał mężczyzna, nie otwierając oczu. Poprzedniego dnia czekał na Zuzannę, siedemnastoletnią córkę, aż wróci z imprezy. Musiał na nią czekać. Obowiązek ojcowski mu to nakazywał. Oj, sam pamiętał, co się robiło, gdy miało się siedemnaście lat. Do tej pory zastanawiał

się, jak udało się jemu i jego przyjaciołom przeżyć i – co najważniejsze – wyrosnąć na statecznych, dojrzałych, uczciwych ludzi. Najchętniej by tę swoją córkę obwąchał po tych imprezach. Ale przecież nie wypadało. Pozostało tylko zaufać psu, że ją dokładnie obwącha i w razie czego wywęszy jakieś świństwa i sobie tylko znanym sposobem swoje podejrzenia przekaże Jackowi. Na Parysie Antoniu zawsze można było polegać, już nie raz się o tym Jacek przekonał.

– Jacek! – powtórzyła Milenka głośniej. Coraz częściej miała wrażenie, że po dziesięciu latach małżeństwa mają mniej czasu dla siebie i już nie jest tak jak kiedyś…

– Tak, kochanie? – Jacek ziewnął.

– Czy ja ci się nadal podobam?

Mąż spojrzał na nią wnikliwie. Jeszcze się w życiu nie nauczył tego, że jak kobieta pyta o takie rzeczy, to absolutnie nie można mówić szczerze, tylko trzeba chwalić, niezależnie od tego, co by się działo.

Jego żona wyglądała na trochę zmarnowaną. Stała przed nim w powyciąganych spodniach od dresu, w szarym T-shircie z mokrą plamą na brzuchu i na plecach. Włosy miała spięte na czubku głowy. Być może wcześniej to coś było schludną fryzurą, ale teraz większość włosów spadała jej na czoło. Cała twarz była czerwona, jak po wielkim wysiłku. No, co tu kłamać. Milenka nie wyglądała zbyt atrakcyjnie.

– Hmm… – zamruczał Jacek.

– Co hmm? – Milenka się zaniepokoiła.

– No, chciałem powiedzieć, że bywało lepiej – szepnął cicho Jacek. Gdyby wiedział, jakie skutki wywoła ten jego

nieśmiały szept, ugryzłby się szybko w język i nie rzekł ani słowa.

– Bywało lepiej? – zasyczała Milenka.

Ku swojemu zaskoczeniu, Jacek kilka lat po ślubie zauważył, że jego żona umie syczeć. Jak wąż. Nigdy za wężami nie przepadał.

– No wiesz, Milenko… Jak masz inną fryzurę… Może trochę inaczej jesteś ubrana… – Niczego nieświadom Jacek brnął dalej.

Milena zacisnęła usta. Jeżeli chodzi o zwierzęta, to Jackowi ta mina przypominała żółwia. On też czasem ma tak zaciśnięte usta. Pokręcił głową, układając się wygodniej w pościeli. Co też Milence się stało, że tak rano domaga się komplementów? Kochał ją bardzo i nie wyobrażał sobie innej kobiety u swojego boku. Czy to nie wystarczy? Przecież skoro się w niej zakochał, ożenił się, ma z nią dwoje dzieci, to coś znaczy, prawda?

O, właśnie. Dzieci. To z nimi niedawno był w zoo i pewnie dlatego ma takie skojarzenia zoologiczne. Ale zawsze to lepiej wąż i żółw niż jakaś hiena.



Milence natomiast wydawało się, że jest prosiakiem. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Jeżeli chodzi o porównania związane z fauną, to naprawdę przypominała takiego różowego prosiaczka. Spoconego. Czy prosiaczki się pocą? Nie wiedziała.

Zerknęła jeszcze raz krytycznie na siebie. O nie! W domu nie będzie ćwiczyć w powyciąganych dresach. Mąż nie będzie na nią narzekać w tej kwestii i wyzywać od brzyduli. Nie będzie!

Oczywiście, gdyby pomyślała bardziej wnikliwie, to by sobie przypomniała, że niczego nieświadomy Jacek wcale nie wyzywał jej od brzyduli, aczkolwiek w głowie ułożyła sobie już jakiś milion epitetów, które to jej mąż rzekomo wypowiedział, a jak nie powiedział, to z pewnością pomyślał.

Siedząc na sedesie, Milena przeglądała telefon i zamówiła kolejne dwie kolorowe bluzki na Zalando. Kiedyś miała ochotę tylko na czarne ubrania, ale gdy schudła znacząco i zaczęła się ruszać, to jakoś i kolory polubiła.

– A, co tam.

Dodała do koszyka kolorowe legginsy. To już drugie. Właśnie, gdy jakiś czas temu jej mąż zobaczył ją wystrojoną w te pstrokate kolory, to stwierdził ze smutkiem, że żona ma kryzys wieku średniego, i że niestety trzeba to cierpliwie przeczekać. A w międzyczasie się modlić, by tenże kryzys objawiał się tylko kolorowymi bluzkami do biegania i pstrokatymi legginsami.



Milenka nie zauważyła żadnego kryzysu. Tuż przed czterdziestką, jak to nieustająco Jacek jej przypominał, czuła się najlepiej w swoim życiu. Jeszcze nigdy nie było jej tak

dobrze. Po urodzeniu dwójki dzieci (w każdej ciąży przytyła trzydzieści pięć kilogramów i dopiero teraz udało jej się to zgubić) czuła się jak nastolatka, jak młoda dziewczyna, która gdyby chciała, to mogłaby wszystko. Czasem nawet jej się wydawało, że to, co robią z Jackiem, to jakaś zabawa w dom, przecież ona wcale nie jest dorosła.

A jak ten Qczaj jej jeszcze mówił, żeby się „ukochoła", to nawet przez chwilę się przestała czuć zoologicznie. W sensie, jak prosiaczek.

Otworzyła szafkę. Korzystając z wolnej soboty i z tego, że dzieci śpią, a mąż jest chwilowo obrażony, a w zasadzie to ona jest obrażona na niego, postanowiła zrobić się na bóstwo.

– Mama! – Usłyszała spod drzwi. – Głodny jestem! – Czteroletni syn stukał w drzwi.

Jednak już nie śpią. Westchnęła.

– Masz ojca? – zapytała.

– Mam! – powiedział Franciszek. Po czym dodał rezolutnie: – Ale przecież nie będę go jadł! – Tak, jakby w ogóle niemożliwe było to, że ojca się ma w celu zrobienia zjedzenia, a nie indywidualnej, osobistej konsumpcji.

– Spróbuj! – powiedziała.

Przez chwilę zastanawiała się, czy jej syn Franciszek jest w stanie umrzeć śmiercią głodową, skoro poprzedniego wieczoru zjadł na kolację jajecznicę z czterech jaj, i uznała, że, co jak co, ale jeszcze trochę na tej kolacji wytrzyma. Z półki zdjęła pudełeczko pełne małych saszetek.

– Glinka z Morza Martwego. – Spojrzała na opakowanie.

Pomyślała z przekąsem, że prosiaczki lubią błoto, więc ta glinka czy inne błoto na twarzy upodobniłaby ją jeszcze bardziej do tego chrumkającego zwierza. Nie będzie jej stosować. Nigdy. A już bez wątpienia nie pokaże się w niej Jackowi. Ale ma jakąś zieloną z alg. Nałożyła sobie na twarz i wyszła z łazienki.

Gdy zobaczył ją syn, uciekł z krzykiem, natomiast dziesięcioletnia córka, stojąca tuż obok siedemnastoletniej Zuzanny prychnęła niepohamowanym śmiechem.

Ot, szacunek do matki. Żaden.

Usiadła przy stole, gdzie czekał na nią talerz z jajecznicą, i bez słowa zaczęła jeść.



Aniela Kownacka szła równym krokiem, nie myśląc w zasadzie o niczym. Tę sztukę opanowała do perfekcji. Nieczęsto jej się to zdarzało, aczkolwiek miała wrażenie, że od pewnego czasu, dokładnie od lat trzech, jej szare komórki nie były w pełni wykorzystywane. Pchała przed sobą wózek, nie zważając na krzywe spojrzenia starszych pań, mówiące jedno: „Trzylatek już zdecydowanie nie powinien siedzieć w wózku".

Oczywiście, nie powinien. To wiedziała. Ale, doprawdy, nie miała siły ganiać za swoją córką. Szczególnie wtedy, gdy się śpieszyła. I, prawdę mówiąc, wolała ją przypiąć pasami do wózka, by jej nie zwiała do lasu czy na ulicę. Oczywiście wielokrotnie zastanawiała się, czy to jest

postępowanie humanitarne i wielokrotnie co do tego miała wątpliwości, ale uznała, że jak wielce ruchliwa trzylatka jej zwieje i będzie jej szukać po całym lesie, to będzie sobie pluła w brodę, że szanowała prawa człowieka (w sensie trzylatki) i nie przypięła jej do wózka. Zatem wolała przypiąć i tym samym narazić się na krzywy wzrok starszych pań.



Aniela od zawsze miała wrażenie, że jest oceniana. Najpierw przez ojca, który wymagania miał ogromne wobec wszystkich oprócz siebie, a potem przez męża – żołnierza. A w zasadzie wojskowego tuż przed emeryturą. Wszystko musiało być jak w zegarku. Wojciech lubił ład i porządek. Chciał wszystko kontrolować. Jak zawsze podkreślał:

– Jesteśmy poważnymi ludźmi, Anielo. Traktujmy się poważnie.

Traktowała go nad wyraz poważnie. Nigdy chyba nie nazwała go inaczej niż „Wojciech". Czasem chciała zdrobnić to imię, ale wtedy kompletnie nie reagował.

– Czy ja jestem trzylatkiem, byś na mnie mówiła Wojtuś? – pytał.

Nie był trzylatkiem. Był rosłym mężczyzną. Barczystym, silnym. Takim, który o wszystkim decydował, i któremu nie wolno się było sprzeciwić. Raz spróbowała. Potem uciekła z córką do mamy na tydzień, kłamiąc, że musi zregenerować siły po tym, jak spadła ze schodów.

Potem jeszcze kilka razy się sprzeciwiała. Nauczyła się wymyślać coraz to nowe powody siniaków na swoim ciele. Raz były to schody, innym razem oblodzony chodnik.

Matka spojrzała na nią ze zrozumieniem.

– Wysokie te schody były.

– Wysokie. – Aniela pokiwała głową.

– U nas nie ma takich wysokich. Zawsze możesz tu wrócić.

– Ale jak, mamo?

– Po prostu. Wrócić.

– Zawsze mi mówiłaś, że małżeństwo jest święte. – Aniela pokręciła głową. – Nawet wtedy, gdy… – Spojrzała matce w oczy. – Gdy ty ze schodów spadałaś.

– Wiedziałaś o tym? – Mama spojrzała na nią zatroskanym wzrokiem. Aniela wzruszyła ramionami.

– Jasne, mamuś.

– To może dlatego teraz nie myślę, że małżeństwo jest święte. Czasem nawet Kościół tak uważa.

– Ech, mamo, Kościół.

– No ja wiem. Ty wobec Boga nawet żoną nie jesteś.

– Mamo!

– Nic nie mów. Chodźcie, nasmażę wam racuchów. Mam jeszcze dżem jagodowy.

Racuchy z jagodami nie rozwiązywały problemów, ale bardzo osładzały życie. Aniela robiła je w domu wielokrotnie, ale nigdy nie smakowały tak, jak te u mamy.

Tam czuła się jak w domu. Zawsze, gdy przyjeżdżała wiosną, latem czy wczesną jesienią, na parapecie stały

świeże kwiaty. Świat przez różowe piwonie wyglądał chyba podobnie jak przez różowe okulary.

Wojciech odszedł, gdy Klara miała rok. To był szok i niedowierzanie. Nienawidziła siebie za to, co poczuła w momencie, gdy dowiedziała się, że „zmarł, pełniąc służbę". Tamtego dnia pracował przy biurku w swojej jednostce. Źle się poczuł. Za późno zawołał pomoc, bo przecież nigdy mu nic nie było. Wszak ćwiczył codziennie, zdrowo się odżywiał i był honorowym dawcą krwi. Niestety, to nie wystarczyło.

Niestety dla niego, bo Aniela poczuła ulgę.

Oprócz tego, że czuła ulgę, czuła się też bardzo złym człowiekiem. Dobra żona powinna płakać, cierpieć, włosy z głowy rwać. Ona czuła pustkę. Pustkę, którą miała zamiar wypełnić tak, jak chciała. Miała wrażenie, że otworzyła zeszyt z czystą kartą, którą może sama sobie zapisać. Nikt jej nie będzie przeszkadzał, nikt nie będzie chował przed nią długopisu, nikt nie będzie miął czystych kartek. I przede wszystkim, ona nie będzie spadać ze schodów. Już nigdy. Już nigdy sobie na to nie pozwoli.

– Mamo, zostałam sama z Klarą. – Zadzwoniła do mamy zaraz po tym, jak się dowiedziała o śmierci Wojciecha. Opowiedziała wszystko.

– Gdy twój ojciec umarł, uwierzyłam, że Bóg istnieje. Gdy wziął do siebie Wojciecha, jestem przekonana, że istnieje na pewno.

– Mamo, może lepiej, aby nie… nie myśleć w ten sposób? Bo będę się smażyć w piekle…

– Dlaczego?

– Bo nic nie czuję. Nie płaczę. A nawet czuję ulgę – wyszeptała przerażona. – Taką trochę pustkę też…

– Jak ja cię rozumiem, córeczko – westchnęła pani Mirosława.

Bezwiednie dotknęła nadgarstka, który kiedyś złamała… spadając ze schodów. Do tej pory czasem ją bolał na zmianę pogody. Zmawiała wtedy dwie zdrowaśki za świętej pamięci męża i dziękowała Bogu, że zechciał jej małżonka ugościć u siebie.

Od czasu, gdy zmarł zięć, dołożyła jeszcze „Ojcze nasz". Niech będzie dobrze Karolowi z Wojciechem. W niebie chyba schodów nie ma. Już nikogo nie skrzywdzą. Zadziwiona była tylko, że ten dobry Bóg nie odesłał ich z powrotem na ziemię. Że z nimi wytrzymywał. O tym, że oni w niebie nie są, tylko zupełnie gdzie indziej, nie chciała myśleć.

Nazwała córkę Aniela, by miała anielskie życie. Tak marzyła o tym, by historia się nie powtórzyła. Niestety. Do tej pory z tym anielskim życiem córki było różnie. Silny, despotyczny ojciec, a potem jeszcze gorszy mąż. Może teraz, gdy się uwolniła, wreszcie uśmiechnie się do niej szczęście?

Tamtego czerwcowego popołudnia, gdy przez telefon dowiedziała się o śmierci zięcia, pani Mirosława narwała kwiatów piwonii ze swojego ogrodu i wsiadła w pociąg jadący do Gdańska. Wieczorem smażyła już racuchy córce.

– Pomogą ci, kochana. Zawsze pomagały – powiedziała.

Dopiero, gdy zjadły racuchy obficie posypane cukrem pudrem, obie zaczęły płakać.

Nie płakały za stratą mężów. Płakały dlatego, by wypłakać całe swoje stare życie i by zacząć je od nowa. Płakały dlatego, że obie popełniły ten sam błąd, i płakały także dlatego, że zastanawiały się, jak wychować małą Klarę, by ich błędu nie popełniła.

Od tamtego czasu Aniela próbowała przeżyć życie z dumnie podniesioną głową. Gdy Wojciech żył, nie pozwalał jej pracować. Teraz musiała coś robić. Pieniądze nie leżą przecież na ulicy. Miesiąc pracowała w sklepie spożywczym. Klara była w żłobku, ale zaczęła chorować. Który pracodawca chciałby mieć pracownika, na którego nie może liczyć? Potem zabrała od mamy starą maszynę do szycia. Trzydziestoletni, a nawet czterdziestoletni Łucznik działał znakomicie. Wraz z maszyną do gdańskiego mieszkania zawędrował cały worek kolorowych tkanin. Aniela zawsze była artystyczną duszą. Szyła, robiła dekoracje do domu. Jedynie to mogła robić przy apodyktycznym mężu. Gdy siedziała z książką w dłoni – protestował. Gdy robiła na szydełku kolejną serwetkę do ich wspólnego domu czy firankę, był przeszczęśliwy. Wtedy była idealna.

Aniela wolała być idealna i naprawdę chciała, by Wojciech był najszczęśliwszy na świecie. Inaczej mogłaby pewnie znowu na swojej drodze napotkać wysokie schody, oblodzone chodniki czy śliskie podłogi.

Na szczęście mąż zrobił jej jedyną chyba w życiu przyjemność i postanowił zaprzyjaźnić się z jej nieżyjącym już ojcem.

Niestety, nawet po ich śmierci Aniela czuła na sobie ich karcący wzrok i miała poczucie bycia nieustannie kontrolowaną. Nie mogła się od tego uwolnić.

Mieszkała z Klarą w małej kawalerce na gdańskim Matemblewie – osiedlu, gdzie chyba wszyscy jeździli dobrymi samochodami, mieli ogromne domy i na pewno nie zastanawiali się, co zrobić, by zarobić trochę kasy nie po to, by wyjechać na kolejne wakacje swoim jachtem, a po to, by przeżyć.



Zuzanna Wolicka po raz dziesiąty kliknęła „drzemkę" w telefonie. Nie mogła wstać. Poprzedniego wieczora do późna wpatrywała się w komputer.

Oczy jej się zamykały, ale obiecała sobie, że nie spocznie, póki nie znajdzie nurtujących ją informacji. Już wiedziała wszystko na tematy ją ostatnio zajmujące. Im więcej czytała, tym bardziej była przerażona. Nie mogła tak tego zostawić. Musiała im wszystkim pomóc!

Wyjęła zeszyt. Już nie, jak kiedyś, z trupią czaszką. Ten miał turkusową okładkę w kropeczki. Kropeczki też były w środku, bo Zuzanna nigdy w życiu nie szła na łatwiznę. Uznała, że sama sobie ten kalendarz wyrysuje i będzie miała dokładnie taki, jaki chce mieć. I taki też był. Oprócz rubryczek dotyczących zwyczajnych nudnych rzeczy, jak plan dnia czy zadane lekcje, były też inne, oznaczone symbolami znanymi tylko dziewczynie.

Zuzanna miała tyle obowiązków, że bez planowania zagubiłaby się gdzieś w świecie. Szkoła, jedno z najlepszych liceów w Gdańsku, po szkole dodatkowy francuski, a poza tym w ubiegłym roku stwierdziła, że jej powołaniem jest perkusja i natychmiast się musi na tę perkusję zapisać. Skutkiem tej spontanicznej decyzji było to, że w tym roku Zuzanna kończyła drugi rok w Państwowej Szkole Muzycznej, grała na perkusji i pianinie i uczyła się dodatkowo jeszcze innych rzeczy przez siedem dni w tygodniu.

– Ona nie ma czasu na głupoty – przekonywał kiedyś Jacek w rozmowie z siedemdziesięciopięcioletnią ciotką Zofią, która już dawno mianowała się samozwańczym aniołem stróżem jego córki.

– Na głupoty zawsze znajdzie się czas, Jacku. – Pokręciła głową.

– Zosiu, ale to dobre dziecko! – twierdził Jacek.

– Ja nie wątpię, że to dobre dziecko. Ja jestem przekonana, że ona z tej dobroci swojej będzie miała jakieś problemy. Też byłam dobrym dzieckiem, Jacku.

Jacek, ojciec Zuzanny, z trudem starał się sobie wyobrazić kolorową, aczkolwiek stateczną Zofię Kruk w roli dobrego dziecka.

– Byłaś, Zosieńko, dobrym dzieckiem i dobrze skończyłaś! – Uśmiechnął się szczerze.

– Skończyłam? – Zofia się oburzyła. – Skończyłam? – powtórzyła. – Ja, drogi Jacku, dopiero zaczynam. I chciałabym, byś był tego świadomy – żachnęła się.

– Zosiu, nie chciałem cię urazić. – Jacek pokręcił głową.

Im był starszy, tym mniej te kobiety rozumiał. Najpierw naraził się Milaczkowi, potem Zofii, jeszcze tylko czekać, aż Zuzannie, zwanej przez wszystkich do tej pory Bachorem, również nadepnie na odcisk. Nie spodziewał się, że nastąpi to tak szybko. Kilka dni po tym, jak uraził Zofię, Bachor przyszedł do niego i oświadczył:

– Tato, chciałabym wyjść dziś wieczorem.

– Dobrze, córeczko – zgodził się Jacek.

Nie widział problemu w tym, że jego córka wychodzi wieczorem. Codziennie wychodziła po zmierzchu z Parysem na spacer, już od lat.

– A wyjdziesz z psem? Albo może Pola wyjdzie? – zapytała Zuzanna.

– Jak to „wyjdziesz z psem"? – dopytywał.

– No przecież mówię. Na spacer.

– A ty? – zapytał zdziwiony.

– Przecież zgodziłeś się, bym wyszła wieczorem – westchnął Bachor, przewracając błękitnymi oczami i zarzucając długi jasny warkocz na plecy.

Jacek natychmiast zobaczył tych wszystkich strasznych pryszczatych młodzieńców, którzy dybią na jego córkę gdzieś w ciemnych zaułkach, gdy ta chodzi tam sama. Nawet bez Parysa.

Parys Antonio nie był szczególnie obronnym psem, ale jego gabaryty były dość duże, co mogło odstraszać potencjalnych małoletnich przestępców. O napastnikach w wieku dojrzalszym Jacek nie chciał nawet myśleć.

– Bez psa w żadnym wypadku. – Jacek pokręcił głową.

– Tato! – Zuzanna była niezadowolona. – Ale ja chcę iść na imprezę!

– Na imprezę? – zdziwił się. – Na imprezę? – powtórzył. – Na jaką imprezę?

– Tato! A ty w moim wieku nie chodziłeś na imprezy?

Jacek przez chwilę się zamyślił. Chodził. Oczywiście, że chodził na imprezy. A dokładniej skakał na nie przez okno na parterze. W wieku Bachora robił również wiele innych rzeczy, które nawet wspominał z lekką nutką nostalgii i żalu za przemijającą młodością, ale, do diaska, zdecydowanie nie chciał, by jego malutka córeczka robiła takie rzeczy.

– Przy… przyjadę po ciebie – wydukał w końcu. – I odwiozę.

– Nie ma takiej potrzeby, tato. Pojadę Uberem.

– Tak, Uberem – przytaknął.

Sam założył swojej córce aplikację „w razie czego". Płatności ściągało mu bezpośrednio z konta.

– Ale o której wrócisz?

– A o której mam?

– O północy?

– Tato, a czy ja wyglądam na Kopciuszka?

– Kochanie, masz siedemnaście lat. Na ileż można chodzić na te imprezy?

Nie rób tego staremu ojcu!

Zuzanna się uśmiechnęła. Usiadła tacie na kolanach. Robiła to często. Zawsze wtedy rozmawiali sobie o wszystkim i o niczym. To był ich czas. Zwykle późnym wieczorem,

gdy Apolonia i Franciszek już spali. Jacek nigdy nie przypuszczał, że będzie miał aż trójkę dzieci. Przecież kolana ma tylko dwa. No i za dnia te kolana były okupowane przez maluchy, czteroletniego Franciszka i dziesięcioletnią Apolonię, zwaną Polą. Dopiero gdy oni zasnęli, miał czas dla Zuzy. Piekielnie trudne to opiekowanie się dziećmi. Naprawdę był zaskoczony, że jego rodzicom udało się go wychować na tak fajnego faceta. Bo w to, że jest fajnym facetem, doskonałym ojcem i dobrym mężem, ani przez chwilę nie wątpił. Nawet wtedy, gdy obudził się rano, zdenerwował Milaczka, a potem Franciszek wpakował mu się do łóżka, krzycząc, że jest głodny. Milena nie dała mu jeść? Przez krótką chwilę zastanawiał się, co musiało się stać, że nie nakarmiła dzieci, ale po chwili doszedł do wniosku, że przecież on też może raz to zrobić. Pokaże, jakim jest idealnym ojcem i usmaży dzieciom jajecznicę. Na maśle. Z cebulą i boczkiem. Nie będzie im niczego żałował. W końcu jest bardzo dobrym ojcem. Milaczkowi też zrobi. Mężem też jest przecież idealnym.

W to, czy Milenka jest idealną żoną, zaczął powątpiewać w momencie, gdy zobaczył ją wychodzącą z łazienki z czymś zielonym na twarzy.

Jęknął.

Przeżył córkę wracającą z imprezy o godzinie zero zero osiem (dokładnie widział na zegarku), to pewnie przeżyje i żonę z zielonym świństwem na twarzy. Miał jednak nadzieję, że nic już go nie zaskoczy.

A jednak. Franciszek poszedł do łazienki i po chwili wrócił z płaczem.

– Tatusiu – szlochał. – Tatusiu, a jak mamusia umrze, to pójdzie do piekła!

Jacek zamarł z widelcem pełnym jajecznicy w połowie drogi do swych ust. Milena niemalże się zakrztusiła. Pola i Zuzanna patrzyły na Franciszka z wielkim zainteresowaniem.

– Franuś, ale dlaczego? – zapytał ojciec rzeczowo. Doprawdy nie mógł wymyślić, o czym wie jego syn, a z czego on nie zdaje sobie sprawy.

– Bo mamusia się kąpie w tak gorącej wodzie, że tylko diabeł by to mógł wytrzymać! – powiedział Franciszek, a z jego oczu polała się jeszcze większa fontanna łez.

Jacek westchnął. Dobrze, że przynajmniej z Polą nie było kłopotów. Nie wiedział wprawdzie, że gdy zjedzą śniadanie w ten średnio zapowiadający się sobotni poranek, w jego skrzynce będzie czekał mail. Mail informujący, że jeśli jego średnie dziecko, Apolonia Wolicka, lat dziesięć, nie weźmie się do roboty, to istnieje ryzyko, że będzie siedzieć w czwartej klasie szkoły podstawowej.

Jednak przy śniadaniu zadowolony Jacek myślał, że jedynym problemem na najbliższy czas jest to, czy jego żona będzie się smażyć w piekle, czy nie. A tym naprawdę nie chciał sobie zaprzątać głowy.

Córka wróciła z imprezy cała i zdrowa, mimo iż w nie najlepszym humorze, żona, wprawdzie zielona na twarzy od jakiegoś świństwa, była cudownie małomówna, dzieci zdrowe. Czegóż więcej można chcieć od życia. Niczego!



– Stasiulku, nie jesteśmy coraz młodsi – westchnęła Zofia Kruk, spoglądając znad okularów na swojego męża, który przysypiał na bujanym fotelu. Fotel postawił sobie wczesnym rankiem na tarasie. Słońce świeciło, Stanisław zaparzył sobie bezkofeinową kawę – niestety, lekarz tego również nie pochwalał – i sącząc ją, uśmiechał się do świata i podziwiał sikorkę, która z zapałem co chwilę fruwała tuż obok dachu, chwaląc się swoim żółtym brzuszkiem.

Dobrze mu było na tym tarasie. Lubił samotne chwile, kiedy to przykryty szarym puszystym kocem oglądał świat. Te chwile, zanim wstała jego ukochana żona Zosieńka, były dla niego cenniejsze niż skarb. Nie to, że jej nie kochał. Kochał ją bardzo, ale gdy z nią przebywał, życie wirowało jak w kalejdoskopie. A on lubił się na chwilę w tym życiu zatrzymać. Ot, tak, jak właśnie tego poranka – wypić kawę, którą posłodził sobie miodem (Zofia by mu nie pozwoliła na taką ekstrawagancję), popatrzeć na kwiaty, które zaczynały kwitnąć, i na ten żółty brzuszek sikorki, która najwyraźniej na świecie zaczynała cieszyć się wiosną. Lubił poczytać gazetę i bardzo lubił sobie podrzemać pod ciepłym kocem, w promieniach dopiero co wznoszącego się słońca.

– Ja doprawdy nie rozumiem, dlaczego ty wychodzisz z ciepłego łóżka, by spać tutaj, na dodatek na siedząco. – Zofia pokręciła głową i przykryła męża dodatkowo ciepłym pledem. – Przecież poranki jeszcze takie chłodne. Przeziębisz się i co? I jaki będzie z ciebie pożytek?

Stasiulek się uśmiechnął. Jakiż tam mógł być z niego pożytek? Żaden. Ani do kopania ogródka się nie nadawał,

ani do pielenia. Gwóźdź to może i jaki jeszcze by wbił w ścianę, ale obrazów nie przybywa, to i wbijanie gwoździ niepotrzebne. Zofia jednak miała rację. Byli coraz starsi.

– Masz rację, Zosieńko – powiedział Stanisław. – Trudno się z tobą nie zgodzić.

Zofia Kruk była wniebowzięta. Za to Stanisława kochała. Że zawsze się z nią zgadzał. Niezależnie od okoliczności przyznawał jej zawsze rację.

– No i kto się nami zaopiekuje na starość? – zapytała nagle Zofia. – No kto?

Stanisław się zadumał.

– Zosiu, a czy my w ogóle dożyjemy starości? – zapytał.

– Stanisławie, ty mnie nie załamuj. Ja na tamten świat się jeszcze nie wybieram, mam dopiero siedemdziesiąt lat!

– Pięć.

– Co pięć?

– Siedemdziesiąt pięć lat masz.

– Bez trzech miesięcy! – oburzyła się Zofia.

– No niech ci będzie, kochanie.

– No, ale co będzie z tą starością, Stasiulku?

– No jak co będzie, Zosiu? – Uśmiechnął się. – Cudownie będzie. Będziemy sobie mieszkali dalej w naszym małym białym domku, rano wstawali i patrzyli na żółte brzuszki sikorek, a wieczorem słuchali dzików wyprowadzających swoje młode na wieczorną przechadzkę. – Stanisław się rozmarzył.

Zofia westchnęła. Nie dało się dzisiaj rozmawiać z poetycko nastawionym do życia małżonkiem. Ich mały biały

domek miał ponad czterysta metrów bez piwnicy, a co do reszty, to nawet się ze Stanisławem zgodziła. Tylko tu właśnie o ten mały biały domek chodziło. Otóż Zofia zapragnęła na stare lata towarzystwa. I wymyśliła, że sobie to towarzystwo zapewni. Zrobi remont całego domu, przerobi go na jedno samodzielne mieszkanie dla siebie i Stanisława, a drugie, dużo większe, będzie dla Milenki i jej rodziny. Świetnie sobie to wszystko zaplanowała, tylko kompletnie nie miała pomysłu, jak powiedzieć o tym Staszkowi. Z doświadczenia wiedziała, że mężczyznom należy przedstawiać swoje pomysły w taki sposób, żeby byli pewni, że są ich autorami. Tego poranka Stanisław nie dał się podpuścić.

Zofia Kruk zawsze realizowała swoje postanowienia w stu procentach. Tylko bardzo często zależało to jedynie od niej. Teraz było inaczej. Zbyt wiele osób miało być zaangażowanych w ewentualną przeprowadzkę. Nie będzie łatwo. Ale kto powiedział, że ma być łatwo? Jak jest zbyt łatwo, to jest nudno. Aby przeżyć to życie w dobrym zdrowiu, trzeba sobie dostarczać co rusz nowych wyzwań! Po kolei. Najpierw przekona Stanisława, że to wszystko jest jego pomysłem, potem Milenkę, a potem wspólnie będą wmawiać Jackowi, jak to on świetnie wszystko wymyślił.

Zofia Kruk. Królowa manipulacji. Manipulacji w słusznej sprawie, oczywiście.

Spojrzała na męża, który znowu przysypiał, lekko kołysząc się w bujanym fotelu, machnęła ręką i poszła sobie zaparzyć kawę.

No nic. Jakoś to będzie. Uśmiechnęła się, i patrząc na męża przez otwarte drzwi, postanowiła, że jak będzie przerabiać budynek, to ten taras z bujanym fotelem i żółtym brzuchem ptaszka zdecydowanie będzie w ich części domu.

Zrobiła sobie kawę, usiadła w ciepłej i przytulnej kuchni, włożyła na nos okulary i zaczęła przeglądać coś w smartfonie, który dopiero co sobie kupiła. Jak ona mogła żyć bez internetu? Nie miała pojęcia. Miała wrażenie, że przed internetem świat w ogóle nie istniał.



Dla Edyty Pieniążek nie istniał świat bez pracy. Kochała pracować i kochała pieniądze, które umiała zarabiać jak nikt. Uwielbiała je również wydawać, ale z racji tego, iż wciąż pracowała, nie miała na to wydawanie zbyt wiele okazji.

Wspólnie z mężem prowadzili luksusowy pensjonat w starej willi we Wrzeszczu. Zaczynali od zera. Kupili zniszczony budynek i własnymi rękami doprowadzali wszystko do stanu świetności. Edyta była królową planowania. Umiała robić plany i, co najważniejsze, była mistrzynią w ich realizacji. Konsekwentna, stanowcza. Potrafiła egzekwować wykonywanie zadań od pracowników, od męża, ale co najważniejsze – od siebie.

– Przed czterdziestką dziecko – oświadczyła mężowi któregoś grudniowego poranka, kilka lat wcześniej.

Patryk od dawna ją namawiał na powiększenie rodziny. Nie chciała o tym słuchać. Pensjonat „Willa Edith"

przynosił ogromne zyski, ale też wymagał poświęcenia mu dużo czasu. Patryk prosił, nalegał, ale jego żona była nieugięta. Dlatego też, gdy oświadczyła, że przed czterdziestką chce mieć dziecko, najchętniej nie czekałby ani chwili, tylko zabrał się do roboty. Tę robotę, jak zresztą każdą inną, bardzo lubił.

– To działamy! – powiedział. Edyta wyciągnęła wtedy kalendarz.

– W przyszłym tygodniu wizyta u doktora Poniatowskiego, pół roku trzeba brać kwas foliowy i witaminy, a potem możemy działać. W czerwcu.

– W czerwcu? – Zasmucił się Patryk. Nie bardzo wyobrażał sobie półroczną abstynencję od czynności, którą to nader sobie ukochał, czyli seksu z własną żoną. Idealną żoną.

Edyta była ucieleśnieniem snów każdego mężczyzny. Długie kruczoczarne włosy zwykle nosiła spięte w ciasny kucyk na czubku głowy, nie wychodziła z domu bez makijażu. A w domu też zwykle się malowała, bo miała wrażenie, że bez makijażu jest naga. O dziwo, nago się nie czuła, chodząc zupełnie goła, jak ją Pan Bóg stworzył, po ich domu czy ogrodzie, ku wielkiemu zadowoleniu swojego własnego męża, który uwielbiał każdy centymetr jej wysportowanego, smukłego ciała.

Dlatego też półroczna abstynencja nie wchodziła zupełnie w grę.

– Ale tak nic? Do tego czasu zupełnie nic? – zapytał cicho.

– Wariacie – roześmiała się Edyta. – Choćby dzisiaj!

Edyta Pieniążek (po mężu) oczywiście zaszła w ciążę dokładnie tego dnia, który zapisała sobie w skórzanym kalendarzu koloru bordowego. Syn Stanisław urodził się trzy tygodnie przed szczytem sezonu hotelowego. Oczywiście wcześniej ustaliła dokładną datę z panem doktorem, który to miał zapewnić jej idealne warunki do porodu cesarskim cięciem w prywatnej klinice położniczej.

Edyta uznała, że trzy tygodnie wolnego od pracy, które poświęci Stanisławowi, to będzie aż nadto, i zaraz po porodzie znalazła nianię (referencje z kilku źródeł), wzięła zastrzyk na zatrzymanie laktacji, kupiła zapas najlepszego mleka w proszku dla niemowląt i wróciła zadowolona do pracy. Poród i bycie mamą potraktowała, jak niemalże wszystko w swoim życiu – zadaniowo. W ciąży przytyła kilka kilogramów, aby je zgubić, zatrudniła trenerkę personalną i tuż przed pracą, około siódmej rano, ćwiczyła w specjalnie przygotowanym do tego pokoju w piwnicy znajdującej się w ich willi, tuż obok domu pani Zofii Kruk i jej męża Stanisława, po którym to w zasadzie młody Pieniążek otrzymał imię.

Patrykowi się to wszystko nie podobało. Myślał, że gdy żona zostanie mamą, to nieco zwolni, złagodnieje. Może będzie mniej nerwowa i stanie się taka bardziej czuła i ciepła. Nic z tego. Edyta nadal przypominała dobrze zaprogramowanego robota, perfekcyjnie wykonującego zadania, w których w zasadzie nikt nie mógł jej zastąpić.

Zaskakujące było to, że na czele tych zadań była praca, a gdzieś na samym dalekim końcu był Stanisław, który

przebywał z mamą zaledwie godzinę w ciągu dnia, w czasie której zwykle Edyta załatwiała sprawy służbowe, rozmawiając przez telefon lub wysyłając maile.

Lubiła być mamą w momencie, gdy kupowała mu markowe ubrania w najdroższych butikach, czy wybierała najlepsze prywatne przedszkola, a nawet już szkoły. Lubiła patrzeć na syna, gdy spał. Siadała wtedy przy nim i pracowała. Czasem wyszukiwała dla niego zabawki w internecie. Gdy się budził, brała go na ręce i natychmiast oddawała niani lub ojcu, bo tak naprawdę nie za bardzo wiedziała, co z nim robić. Płakał, jęczał czasem. Edyta nie lubiła hałasu.

Na urlop w zasadzie nie jeździła, czasem z mężem spędzali weekendy gdzieś w SPA, ale wtedy też miała wrażenie, że jest w pracy, bo dokładnie zaglądała w każdy hotelowy kąt, by sprawdzić, jak działa konkurencja. Stanisława zostawiała pod opieką niani. Pod najlepszą opieką. Przecież kamery były zamontowane w całym domu i w ogrodzie, więc mogła na syna patrzeć, gdy tylko miała na to ochotę. Robiła to zawsze wieczorem, gdy zasypiał. Czasem płakał, ale wtedy niania brała go na ręce i chyba przestawał. Znikali wówczas na chwilę z pola widzenia kamery. Wracali po chwili. Edyta uśmiechała się wtedy do siebie, zamykała laptopa i szła pod prysznic. Już była spokojna, że synek bezpiecznie śpi w swoim łóżeczku. Pod najlepszą opieką, jaką według niej mógł mieć.



Kamila obiecała sobie, że robi to ostatni raz. Kochała piękno, ale też kochała naturę. Właśnie obrabiała zdjęcia do najnowszej kampanii reklamowej specyfiku na cellulit. I cóż tu mówić więcej, tenże cellulit usuwała ze zgrabnych ud ponętnej modelki.

– A potem wszystkie mamy kompleksy – powiedziała do córki, która bawiła się klockami. – Widzisz, Zosiu. Nieważne jak wyglądasz, w komputerze jesteś w stanie sobie zmienić wszystko.

– Tu jest oko. – Córka pokazała na swoje oczy.

– Dokładnie – zgodziła się z nią Kamila. – Ale wiesz, w tych czasach praca fotografa to jest taka, że oko możesz nawet mieć na dupie.

– Dupa! – roześmiało się dziecko.

– O, matko – jęknęła kobieta. Robert, jej mąż, znowu będzie się z niej śmiał, że niby taka święta, a dziecko uczy mówić brzydkie wyrazy. No cóż. Dupa to też część ciała, którą to właśnie pozbawiała cellulitu.

Faktycznie, Kamila była bardzo uduchowiona. Wierzyła w Boga, w dobro, które prędzej czy później spotka każdego człowieka, o ile człowiek podąża właściwą drogą. Czy jej droga była właściwa? Kochała robić zdjęcia, ale najbardziej lubiła fotografować pomarszczone twarze ludzi, którzy już wiele na tym świecie przeżyli. Każda ich zmarszczka pokazywała emocje, jakie nimi targały podczas całego życia. Nie lubiła wygładzonych rysów modelek, które nie miały prawa mieć niedoskonałości na twarzy. Ale czy kurze łapki były niedoskonałe? Przecież pokazywały, że ktoś całe życie

się uśmiechał. Zmarszczki mimiczne. Srogi wyraz twarzy u kruchego dziadka mógł przypominać innym, że kiedyś ten dziadek nie był tak słaby, że kiedyś to on dyktował warunki i siał wśród wszystkich postrach. Takie twarze się zapamiętuje! A nie gładkie tyłki modelek. Aż miała ochotę zostawić trochę skórki pomarańczowej na tych pośladkach. Wiedziała jednak, że szybko by ten kontrakt straciła, a płacili całkiem dobrze.

– No i dupa gotowa – powiedziała.

– Dupa. – Mała Zosia klasnęła uradowana w rączki.

Kamila jęknęła. Zapisała plik, wzięła Zosię na ręce i postanowiła iść na spacer, mając nadzieję, że pamięć dziecka, szczególnie jeżeli chodzi o brzydkie słowa, jest bardzo zawodna.



Książki z serii Dobre myśli kupisz na stronie:
sklep.wydawnictwoflow.pl



Milaczek (Cykl: Dobre myśli – tom 1)

Milenka to dziewczyna, którą trudno zaszufladkować. Trochę po trzydziestce (ale naprawdę tylko trochę!), trochę zbyt przejmująca się tym, co myślą inni, i trochę za często wpadająca w sytuacje, których nie da się przewidzieć... ani opanować. Jedno jest pewne – jej życie zdecydowanie do nudnych nie należy.

Na co dzień musi radzić sobie nie tylko z własnymi emocjami i nieustającym poszukiwaniem miłości, ale też z całkiem barwnym otoczeniem.

Jest Bachor – siedmiolatka o niewyparzonym języku i zaskakującej przenikliwości.

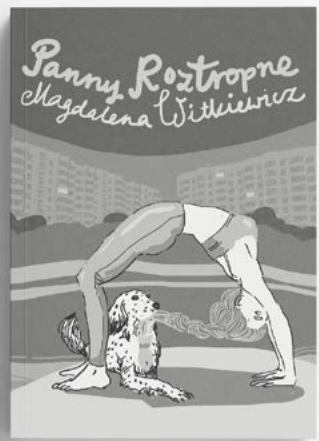
Jest ciotka Zofia Kruk – kobieta, która dawno przestała przejmować się konwenansami i z ogromnym apetytem korzysta z życia.

No i jest Parys Antonio – pies z charakterem, który zdaje się mieć więcej godności niż niejeden człowiek.

Milaczek to ciepła, pełna humoru opowieść o kobiecie, która – choć czasem się gubi, potyka i podejmuje decyzje, których sama do końca nie rozumie – wciąż idzie do przodu. Bo gdzieś, pod tym całym chaosem, kryje się ogromne serce i pragnienie, by być kochaną taką, jaka jest.

To historia o miłości – tej do siebie, tej romantycznej i tej, która pojawia się tam, gdzie najmniej się jej spodziewamy. Lekka, zabawna i wzruszająca. Idealna na wieczór, gdy chcesz się uśmiechnąć i na chwilę zapomnieć o całym świecie.

Książki z serii Dobre myśli kupisz na stronie:
sklep.wydawnictwoflow.pl



Panny roztropne (Cykl: Dobre myśli – tom 2)

Miłość jest coraz bliżej… ale jak zwykle w życiu Milenki – nic nie dzieje się tak po prostu.

Bo owszem, jest ON. Ma długie włosy, zna się na komputerach i – co najważniejsze – naprawdę lubi Milenkę. Wygląda więc na to, że szczęście jest na wyciągnięcie ręki. Tylko czy Milaczek potrafi je rozpoznać… i niczego nie zepsuć po drodze?

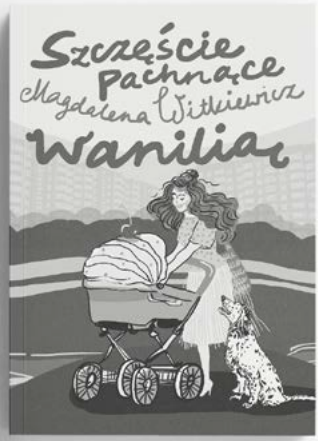
Świat wokół niej, tymczasem, wiruje jeszcze szybciej. Zofia Kruk udowadnia, że życie zaczyna się po sześćdziesiątce – i to z rozmachem, o jakim inni mogą tylko marzyć. Bachor nie zwalnia tempa – z właściwą sobie bezpośredniością wtrąca się w sprawy dorosłych i jak zwykle wie więcej, niż powinien. Do tego nowi sąsiedzi, związana z tym komedia pomyłek i sytuacje, które wymykają się wszelkim schematom…

Wśród nich – Aleksandra Pieczka. Piękna, silna, znana całemu światu była mistrzyni gimnastyki, która nagle postanawia zostawić swoje dotychczasowe życie i zacząć od nowa. Z walizką pełną doświadczeń, złamanym sercem i odwagą, której można jej tylko pozazdrościć, pojawia się tuż obok… i szybko okazuje się, że jej historia jest równie skomplikowana jak losy Milaczka.

Panny roztropne to jeszcze więcej ciepła, jeszcze więcej humoru i jeszcze więcej emocji. To opowieść o dojrzewaniu – do miłości, do decyzji i… do samej siebie. O tym, że czasem trzeba się pogubić, żeby w końcu wybrać właściwą drogę. I że rozsądek – cóż… – bywa przereklamowany.

Jeśli pokochaliście Milaczka, tu odnajdziecie wszystko to, co w nim najlepsze – plus jeszcze więcej powodów, by uśmiechać się od pierwszej do ostatniej strony.

Książki z serii Dobre myśli kupisz na stronie:
sklep.wydawnictwoflow.pl



Szczęście pachnące wanilią (Cykl: Dobre myśli – tom 3)

Ada ma kłopoty. Złamane serce, puste konto i jedno miejsce, które trzyma ją przy życiu – mała cukiernia na gdańskim osiedlu. To tu, nocami, przy zapachu wanilii i świeżo pieczonych babeczek, próbuje poskładać swoje życie na nowo. Bo choć wszystko się sypie, jedno wie na pewno – piec potrafi najlepiej. Z czasem do jej cukierni zaczynają trafiać inni. I to nieprzypadkowo.

Karolina – silna, poukładana… i coraz bardziej samotna.

Magda – żona mężczyzny, który bardziej kocha swój samochód niż rodzinę.

I Milenka – dobrze znany czytelnikom Milaczek, który stoi u progu największej zmiany w życiu.

Każda z nich niesie własne historie, rozczarowania i nadzieje.

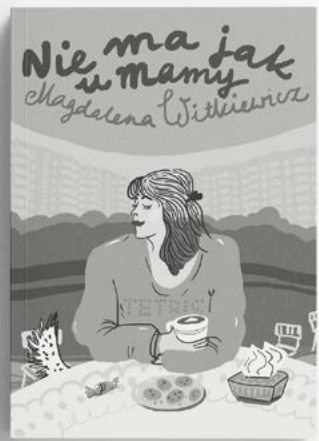
A gdzieś obok – jak zawsze czujna i gotowa, by trochę pomóc szczęściu – Zofia Kruk, oraz Bachor, który widzi i rozumie więcej, niż dorośli chcieliby przyznać. Bo choć tym razem stoją nieco z boku, ich obecność wciąż przypomina, że życie lubi się komplikować… ale jeszcze bardziej lubi zaskakiwać.

I nagle okazuje się, że wystarczą: „na chwilę" wstawiony kojec, kilka stolików i zapach wanilii, by powstało miejsce, w którym można się zatrzymać, odetchnąć, wygadać. I… być może zacząć od nowa.

Szczęście pachnące wanilią to opowieść o kobietach, które spotykają się w odpowiednim momencie – choć żadna z nich tego nie planowała. O przyjaźni, która pojawia się wtedy, gdy najbardziej jej potrzebujemy. I o tym, że nawet jeśli życie rozsypie się na kawałki, zawsze można spróbować poskładać je na nowo – najlepiej przy kubku kawy i czymś słodkim.

Bo czasem szczęście naprawdę pachnie wanilią.

Książki z serii Dobre myśli kupisz na stronie:
sklep.wydawnictwoflow.pl



Nie ma jak u mamy (Cykl: Dobre myśli – tom 4)

Milenka powraca – trochę starsza, trochę bardziej pogubiona, a jednocześnie silniejsza niż kiedykolwiek. Przed nią czterdziestka, za nią kilka życiowych zakrętów i całkiem sporo pytań bez odpowiedzi. Bo kiedy właściwie zaczyna się kryzys wieku średniego? I czy naprawdę trzeba się go bać?

W jej świecie nic nie jest proste. Jedwabna piżama może okazać się strojem na ważne spotkanie, a „Projekt Matka" może być trudniejszy niż niejeden biznesplan. A miłość… jak zwykle przychodzi wtedy, kiedy najmniej się jej spodziewamy.

Obok Milenki są inni – niezastąpiona, ekscentryczna Zofia Kruk, która wie o życiu więcej, niż powinna, Bachor, który już nie jest dzieckiem – choć czasem bardzo by chciał, oraz kobiety, które – każda na swój sposób – próbują poukładać świat na nowo.

Nie ma jak u mamy to opowieść o powrotach. Do siebie, do bliskości, do miejsc, w których można być wreszcie sobą.

Magdalena Witkiewicz jak zawsze z wdziękiem, humorem i ogromną czułością opowiada o kobietach na życiowych rozstajach. O ich sile, potknięciach i odwadze, by zaczynać od nowa.

To historia, która otula jak ciepły koc, rozśmiesza wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebujesz i przypomina o tym, co najważniejsze – że nie ma nic cenniejszego niż przyjaźń, wsparcie i nadzieja na dobre zakończenie.

Bo przecież… nie ma jak u mamy!

flow

wydawnictwoflow.pl

Milenka wraca, trochę starsza, trochę bardziej pogubiona, a jednocześnie silniejsza niż kiedykolwiek. Przed nią czterdziestka, za nią kilka życiowych zakrętów i całkiem sporo pytań bez odpowiedzi. Bo kiedy właściwie zaczyna się kryzys wieku średniego? I czy naprawdę trzeba się go bać?

W jej świecie nic nie jest proste – jedwabna piżama może okazać się strojem na ważne spotkanie, „Projekt Matka" bywa trudniejszy niż niejeden biznesplan, a miłość… jak zwykle przychodzi wtedy, kiedy najmniej się jej spodziewamy.

Obok Milenki są inni, niezastąpiona, ekscentryczna Zofia Kruk, która wie o życiu więcej, niż powinna, Bachor, który już nie jest dzieckiem, choć czasem bardzo by chciał, oraz kobiety, które, każda na swój sposób, próbują poukładać świat na nowo.

„Nie ma jak u mamy" to opowieść o powrotach. Do siebie, bliskości, do miejsc, w których można być wreszcie sobą.

Magdalena Witkiewicz jak zawsze z wdziękiem, humorem i ogromną czułością opowiada o kobietach na życiowych rozstajach. O ich sile, potknięciach i odwadze, by zaczynać od nowa.

To historia, która otula jak ciepły koc, rozśmiesza wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebujesz i przypomina o tym, co najważniejsze, że nie ma nic cenniejszego niż przyjaźń, wsparcie i nadzieja na dobre zakończenie.

Bo przecież… nie ma jak u mamy.

W sprzedaży także:

ebook audiobook

flow

Cena 49,90 zł

